

**FRANCIS SCOTT FITZGERALD**

**NIEBEZPIECZNA  
PRZEPRAWA**



FIKCJE I FAKTY 01/1989

## I.

Kiedy znajdziesz się na długich, krytych nabrzeżach, przybyłeś do upiornej krainy, która nie jest już Tu, ale jeszcze nie jest Tam. Szczególnie nocą, gdy zamglona, żółta krypta wypełniona jest wrzaskliwymi, rezonującymi echem głosami. Gdy słyhać dudnienie ciężarówek i odgłos zwalanych na kupę bagaży, piskliwe skrzeczenie żurawia i czuć pierwszy słony zapach morza. Podążasz naprzód z pośpiechem, chociaż jest jeszcze sporo czasu. Przeszłość, kontynent zostawiłeś za sobą; przyszłość, to tamten rozżarzony światłem otwór w burcie statku; ten ciemny, niepokojący trakt jest w zbyt zagmatwany sposób terażniejszością.

Na górę, po trapie i obraz świata dostraja się, kurczy. Każdy zostaje obywatelem wspólnoty mniejszej niż Andorra. Nikt nie jest dłużej czegokolwiek pewien. Osobliwie niewzruszeni mężczyźni za biurkiem armatora, przypominająca celę kabina, lekceważące spojrzenia pasażerów i ich znajomych, poważny oficer, który, spoglądając na tłum w dole, stoi na opustoszałym pokładzie spacerowym i duma nad swoimi sprawami. Ostatnie, dziwne skojarzenie, że tak naprawdę nikt nie musiał tu przychodzić, a potem głośny, żalobny gwizd i coś — z pewnością nie statek, już raczej jakiś los ludzki, stan duszy być może — zanurza się w wielką, ciemną noc.

Adrian Smith, jedna ze znakomitych osobistości na pokładzie — osobistość, co prawda, może nie taka znowu wielka, choć dostatecznie ważna, by została skąpana w blasku flesza fotografa, który, mimo iż podano mu nazwisko, nie był za bardzo pewien, czym jego obiekt się trudnił — Adrian Smith i jego jasnowłosa żona Ewa, wspięli się na pokład spacerowy, minęli zadumanego oficera statku i, znalazłszy cichy zakątek, oparli łokcie na relingu.

— Odplywamy! — wykrzyknął niebawem Adrian i oboje roześmieli się radośnie. — Uciekliśmy. Teraz już nas nie dostaną.

— Kto?

Kiwnął niewyraźnie ręką w stronę dostojnych obywateli.

— Wszyscy ci ludzie, tam w dole. Przyjdą z tymi swoimi oddziałami policji, z nakazami aresztowania, z listą zbrodni, które popełniliśmy, zadzwonią do naszych drzwi na Park Avenue, zapytają o państwa Smith, ale cóż to? Państwo Smith ze swoimi dziećmi i nianią wyruszyli do Francji.

— Mówisz tak, jakbyśmy rzeczywiście popełnili jakieś zbrodnie.

— Nie złapią cię — powiedział z zasępioną miną. — Jest jedna główna rzecz, z powodu której mnie ścigają: wiedzą, iż nie mam żadnego prawa do takiej osoby jak ty, i dlatego są wściekli. I jest to też jedna z głównych przyczyn, dla której się cieszę, że stąd wyjeżdżam.

— Kochany — powiedziała Ewa.

Miała dwadzieścia sześć lat, pięć lat mniej od niego. Była uwielbiana przez wszystkich, którzy ją znali.

— Ten okręt bardziej mi się podoba niż „Majestic” czy „Aquitania” — stwierdziła nielojalnie wobec statków, na których spędzali podróż poślubną.

— Jest znacznie mniejszy.

— Ale za to niezwykle zgrabny, i ma te wszystkie małe sklepiki wzdłuż korytarzy. A poza tym wydaje mi się, że kabiny są tutaj jakby większe.

— A zauważyłaś może, jacy ludzie są tutaj oficjalni? Zupełnie jakby myśleli, że wszyscy pozostali to jacyś oszuści. Tymczasem za cztery dni pewnie połowa z nich będzie z drugą połową na „ty”.

Czwórka z tych ludzi przeszła właśnie obok nich — kwartet młodych dziewczyn idących ramię przy ramieniu i zataczających na pokładzie koło. Ich ośmioro oczu zwróciło się na moment w stronę Adriana i Ewy, po czym odwróciło automatycznie z powrotem, z wyjątkiem

dwojga, które zatrzymały się na nich nieco dłużej, z lekkim przestraczem. Należały one do jednej z dziewczyn idącej w środku, i, jak się później okazało, jedynie ona spośród całej czwórki rzeczywiście wypływała w rejs. Miała nie więcej niż osiemnaście lat — ciemnowłosa, mała piękność, z której emanował subtelny, kryształowy blask występujący zwykle u brunetek w miejsce jasnego promieniowania blondynek.

— O, a któż to? — zainteresował się Adrian. — Gdzieś już ją chyba widziałem...

— Ładna jest — spostrzegła Ewa.

— Tak... — Adrian zamyślił się, a Ewa na chwilę pozwoliła mu się oderwać, po czym uśmiechając się do niego, wciągnęła go z powrotem w krąg ich intymności.

— Powiedz mi coś jeszcze — poprosiła.

— O czym?

— O nas. O tym, jak wspaniale spędzimy czas, i o ile będziemy lepsi i szczęśliwsi, i że zawsze już będziemy blisko siebie.

— Ale chyba bliżej już nie możemy. — Adrian przygarnął ją do siebie ramieniem.

— Tak, ale mnie chodzi o to, żebyśmy się już nigdy więcej nie kłócili o jakieś głupstwa... Bo wiesz, tak sobie właśnie pomyślałam, kiedy dałeś mi ten prezent urodzinowy w zeszłym tygodniu — jej ręce pieściły naszyjnik z pięknych, drobnych pereł — że postaram się już nigdy nie mówić ci żadnych przykrych rzeczy.

— Ależ nigdy nie mówiłaś, kochanie.

Jednak, mimo iż tulił ją mocno do siebie, wiedziała, że ta krótka chwila, w której byli tylko we dwoje, całkowicie odizolowani od zewnętrznego życia, minęła, niemal zanim jeszcze zdążyła się rozpocząć. Jego czuлки były już wysunięte, łowiąc nowy świat.

— Większość z tych ludzi wygląda dość okropnie — zauważył. — Jacyś tacy mali, śniadzi i brzydzy. Amerykanie zwykle tak nie wyglądają.

— Rzeczywiście prezentują się jakoś ponuro — przyznała. — A może nie zawierajmy żadnych nowych znajomości, co? Trzymalibyśmy się tylko razem, we dwoje...

Teraz słyhać było uderzenia gongu, stewardzi krzyczeli w dół, w kierunku pokładów: „Odprawiający proszeni są o zejście na ląd!”, zaś głosy wznosiły się w piskliwy chór.

Trapy na moment wypełniły się tłumem, potem opustoszały, a zbita masa ludzka za barierką, z zyczliwymi uśmiechami na twarzach, wymachiwała i wykrzykiwała coś niezrozumiale.

Podczas gdy robotnicy portowi zajęci byli linami, w wielkim pośpiechu przybył dość mocno podpity młody człowiek o płaskim nosie, zaś w drodze po trapie towarzyszyli mu tragarz i taksówkarz. Statek połknął go równie beznamiętnie, jak gdyby był pielgrzymem zdążającym do Bejrutu, po czym rozeszło się niskie, złowrogie wibrowanie. Nabrzeże wraz z twarzami zaczęło się powoli przesuwac i przez chwilę statek stanowił zaledwie drobną cząstkę przypadkowo tylko od niego oderwaną; potem twarze zaczęły się oddalać, a nabrzeże stało się jedną z wielu żółtych plam wzdłuż linii brzegowej. Teraz port szybko zlewał się z morzem.

Na jednym z równoleżników szerokości geograficznej północnej tworzył się huragan, który poprzedzany silnym zachodnim wiatrem przemieszczał się przez południowy wschód na południe. Na swojej drodze zatopić miał statek „Peter I. Eudin” z Amsterdamu wraz z sześćdziesięciosześciosobową załogą, złamać bom na największym okręcie świata oraz przynieść żalobę i tęsknotę żonom kilkuset marynarzy. Ten zaś liniowiec, wyruszający z Nowego Jorku w niedzielny wieczór, wpłynąć miał w strefę sztormu we wtorek, zaś huraganu w srode, późnym wieczorem.

## II.

We wtorek po południu Adrian i Ewa złożyli swoją pierwszą wizytę w palarni. Co prawda jeszcze przed wyjazdem postanowili sobie, iż po opuszczeniu Ameryki „nigdy już nie będą mieli nic wspólnego z koktajlem”, ale zapomnieli wówczas o tej brzmiącej staccato samotności na statkach i o całym tym życiu skupionym wokół baru. Tak więc wpadli tam tylko na chwilę.

Palarnia wypełniona była gęstym tłumem. Niektórzy przyszli tu po lunchu, inni z kolei zamierzali pozostać do obiadu, by nie wspomnieć już o tych kilku wiernych, którzy tkwili na swoich miejscach od dziewiątej rano. Było to zgromadzenie bogatych ludzi szukających rozrywki przy brydżu, pasjansie, kryminałach, alkoholu, kłótniach i miłości. Aż do tego momentu dawałoby się to przyrównać do zwykłego życia w klubach czy kasynach dowolnego kraju, lecz tutaj dodatkowo jeszcze unosiła się atmosfera jakby stłumionej, nerwowej energii, ledwie skrywanego zniecierpliwienia, które udzielało się na równi starym, jak i młodym. Rejs dopiero się rozpoczął, i wszyscy radowali się z jego początku, choć cała ta zabawa nie była znowu na tyle urozmaicona, żeby wypełnić równe sześć dni, pragnęli już zatem, by się czym prędzej skończyła.

Przy pobliskim stoliku Adrian dostrzegł tę śliczną dziewczynę, która przyglądała mu się na pokładzie pierwszego wieczora. I znów zafascynował go jej urok: nic nie przyćmiewało olśniewającego blasku, który promieniował od niej poprzez zadymiony nieład tego pomieszczenia. Razem z Ewą na podstawie listy pasażerów ustalili, że musiała to być „panna Elizabeth D'Amido ze służącą”, natomiast Adrian przechodząc kiedyś po pokładzie obok kortu, gdzie akurat rozgrywany był mecz tenisa słyszał, jak nazywano ją Betsy. Wśród towarzyszących jej młodych osób znajdował się ów płaskonosy młodzian, którego wtoczono na statek owego pamiętnego wieczora, gdy właśnie odpływali; jeszcze wczoraj markotny przechadzał się po pokładzie, ale najwyraźniej stopniowo wracał już do życia. Panna D'Amido coś do niego szepnęła, on zaś spojrział zaciekawiony w kierunku Smithów. Tymczasem Adrian na tyle jeszcze nie przyzwyczyił się do swojej roli znakomitej osobistości, iż odwrócił się zażenowany.

— Chyba trochę kołysz, czujesz? — zapytała Ewa.

— A może byśmy tak wypili butelkę szampana?

Podczas gdy Adrian rozmawiał z kelnerem, przy tamtym stoliku odbywała się krótka narada; po chwili jeden z młodych ludzi wstał i podszedł do ich stolika.

— Czy może pan Adrian Smith?

— Tak.

— Bo właśnie zastanawialiśmy się, czy nie zgodziłby się pan zapisać do turnieju tenisa pokładowego? Bo chcielibyśmy zorganizować taki turniej. To znaczy tenisa pokładowego.

— Ale przecież... — Adrian zawahał się.

— Nazywam się Stacomb — wypalił nagle młodzieniec. — Wszyscy znamy pańskie... pańskie sztuki, czy cokolwiek by to nie było, no i to wszystko... I właśnie zastanawialiśmy się, czy nie zechciałby się pan przysiąc do naszego stolika?

Nieco zakłopotany, Adrian roześmiał się: pan Stacomb, wygadany, zniewieściały, ociężały, czekał; był najwyraźniej dumny, że udało mu się wygłosić tak zgrabny komplement.

Adrian, rozumiejąc w końcu także i to, odparł:

— Dziękuję, ale może lepiej by było, gdybyście to wy się do nas przysiedli?

— My mamy większy stolik.

— Ale my jesteśmy starsi i bardziej... zasiedziali.

Młodzieniec roześmiał się uprzejmie, jak gdyby chciał powiedzieć: „No to w porządku”.

— I niech mnie pan wpisze do tego turnieju — dodał Adrian. — Ile mam zapłacić?

— Dolca. I proszę mi mówić Stac.

— Jak to? — spytał Adrian zaskoczony.

— Tak jest krócej.

Kiedy wreszcie odszedł, Adrian i Ewa uśmiechnęli się do siebie znacząco.

— Boże! — szepnęła Ewa. — Oni są chyba rzeczywiście gotowi tu przyjść.

I byli. Dopijając do dna kieliszki, nawołując kelnerów, hałaśliwie odsuwając krzesła, trzech chłopców i dwie dziewczyny przeniosło się do stolika Smithów. Jeśli by mówić tu o jakimś zakłopotaniu, to dotyczyło ono co najwyżej gospodarzy, jako że nowo przybyli śmiało obsiedli ich dokoła, spoglądając przy tym na Adriana z szacunkiem — nawet zbyt dużym szacunkiem — jak gdyby chcieli powiedzieć: „To był prawdopodobnie błąd, i wcale nie będzie zabawnie, ale być może zyskamy coś na tym, coś, co pomogłoby nam w późniejszym życiu, tak jak w szkole”.

Panna D'Amido momentalnie zamieniła się miejscami z jednym z mężczyzn i usadowiła się u boku Adriana patrząc na niego z jawnym uwielbieniem.

— Zakochałam się w panu natychmiast, gdy tylko pana ujrzałam — powiedziała głośno i bez żadnego skrępowania. — Więc biorę na siebie całą winę za to wtargnięcie. Oglądałam pańską sztukę cztery razy.

Adrian przywołał kelnera.

— Bo widzi pan — kontynuowała panna D'Amido — podobno wpływamy teraz w strefę sztormu i przez resztę podróży być może będzie pan chorował, tak że nie miałabym już żadnej szansy.

Adrian spostrzegł, że w tym, co mówiła, nie krył się żaden podtekst czy aluzja, ale też nie było takiej potrzeby. Całkowicie wystarczały zwykłe słowa, natomiast to, że ignorowała swoich młodych znajomych, podczas gdy jednocześnie całą swoją grzeczną uwagę i zainteresowanie skierowywała wyłącznie na niego, było na swój sposób bardzo ujmujące. Poczuł, jak rozlewa się w nim miłe ciepło; spędzał teraz czas bardziej niż przyjemnie.

Tymczasem Ewa bawiła się znacznie gorzej; dobrze chociaż, iż okazało się, że ów młodzieniec z płaskim nosem, którego nazwisko brzmiało Butterworth, znał tych samych ludzi, co ona, dzięki czemu sytuacja wydawała się mniej nieostrożna i przypadkowa. Ewa nie lubiła zawierać nowych znajomości, o ile „czegoś nie wносиły” i nierzadko bywała znudzona tłumami ludzi wszelkich typów, statusów i klas, którzy przewijali się przez życie Adriana. Sama posiadała „wszystko” — co miało oznaczać, iż obdarzona była licznymi talentami i urokiem — i zwykła nowość ludzi nie wydawała jej się wystarczającym powodem, by wiecznie im wszystko z siebie dawać.

Pół godziny później, kiedy wstała, by pójść do dzieci, była zadowolona, że ten epizod już się skończył. Na pokładzie zrobiło się chłodniej, narastająca wilgoć przechodziła niemal w deszcz, i dawało się wyczuć wzmożony ruch. Otwierając drzwi do swojej kabiny, Ewa zdumiała się na widok stewarda, który siedział rozwalony na jej łóżku, podczas gdy jego głowa zsuwała się z opartej pionowo poduszki.

Kiedy weszła do środka, steward spojrział na nią apatycznie i nie uczynił najmniejszego ruchu, by się podnieść.

— Jak już skończy pan swoją drzemkę, może mi pan przynieść nową poszewkę na poduszkę — powiedziała wzburzona.

Mężczyzna jednak nie zareagował. Wówczas spostrzegła, że jego twarz miała wyraźnie zielonkawy odcień.

— Proszę pana, może jednak z tą swoją chorobą morską poszedłby się pan położyć do własnej kabiny — dodała stanowczo.

— Mój bok — steward wymamrotał wreszcie słabym głosem.

Próbował się podnieść, jęknął cicho z bólu i opadł z powrotem na łóżko. Ewa zadzwoni-

ła po stewardesę.

Jednostajne falowanie, kołysanie, huśtanie rozpoczęło się już na dobre. Ewa ani trochę nie współczuła stewardowi; pragnęła jedynie pozbyć się go jak najprędzej. To oburzające, żeby członek załogi cierpiał na chorobę morską.

Kiedy przysła stewardesa, Ewa próbowała to wszystko wyjaśnić, ale teraz jej z kolei zaczęło wirować w głowie; rzuciła się na łóżko zakrywając oczy rękami.

— To jego wina — stęknęła, gdy mężczyznę wyprowadzono już z pomieszczenia. — Czuję się wspaniale i to od patrzenia na niego zrobiło mi się niedobrze, Żeby tak umarł.

Po kilku minutach przyszedł Adrian.

— Och, jak okropnie się czuję! — wykrzyknęła.

— Dlaczego, moje ty biedactwo? — Pochylił się i wziął ją w ramiona. — Dlaczego mi nie powiedziałaś?

— Na górze czułam się wspaniale, ale był tu steward... Och, jestem zbyt chora, żeby mówić...

— To może lepiej zjadłabyś obiad w łóżku?

— Obiad?! Och mój Boże...

Adrian usiadł zatroskany, ale ona chciała słyszeć jego głos, chciała, żeby zagłuszył lament jęczących belek.

— Gdzie byłeś?

— Pomagałem przy zapisywaniu ludzi do turnieju.

— A oni to zorganizują w takich warunkach? Bo przecież ja się nie nadaję do gry i tylko będziesz tracił przeze mnie punkty.

Adrian nie odpowiedział; otwierając oczy dostrzegła jego zasępioną minę.

— Nie przypuszczałem, że będziesz chciała grać ze mną w mikście.

— Dlaczego, przecież to jest właśnie najfajniejsze.

— Tylko że ja już obiecałem tej pannie D'Amido, że z nią zagram.

— Ach tak...

— Jakoś nie pomyślałem o tym. Ale przecież wiesz, że wołałbym zagrać z tobą.

— No to dlaczego o tym nie pomyślałeś? — zapytała chłodno.

— Jakoś nie przyszło mi do głowy...

Ewa doskonale pamiętała, jak podczas podróży poślubnej grali razem i nawet dostali się do finałów zdobywając nagrodę. Cóż, minęły lata. A poza tym Adrian nigdy nie miał tak żałośnie posępnej miny, jeśli nie czuł się chociaż trochę winny.

Teraz zabrał się do wyciągania z walizki smokingu, kręcił się po kabinie i potykał, a ona znowu zamknęła oczy.

Kiedy szczególnie gwałtowny przechył wyrwał ją z lekkiej drzemki, Adrian był już przebrany do obiadu i właśnie zawiązywał krawat. Z blaskiem w oczach wyglądał zdrowo i rześko.

— No to jak? — zapytał. — Dasz radę pójść, czy nie?

— Nie.

— A może mógłbym coś dla ciebie zrobić przed wyjściem?

— Dokąd idziesz?

— Spotkać się z tymi dzieciakami w barze. To co, mogę coś dla ciebie zrobić?

— Nie.

— Kochana, wiesz chyba, że nie chciałbym cię tu zostawiać w takim stanie.

— Nie wygłupiaj się. Po prostu chcę spać.

Ta jego posępna mina — a przecież zdawała sobie sprawę, że on aż rwie się, by wyjść, by uciec jak najdalej od zamkniętej kabiny. Była zadowolona, gdy wreszcie drzwi się za nim zatrzasnęły. W tym momencie pozostało jej już tylko spać, spać...

W górę — w dół — w bok. Ejże, nie tak daleko! Dawaj ją tutaj, przez ten zakręt. Teraz

zwrot — w prawo — w lewo — Skrz... rzyp! Prask! Łup! Trzeszczy łódź.

Kilka godzin później Ewa spostrzegła na wpół świadomie, że Adrian się nad nią pochyla. Chciała, żeby wziął ją w ramiona i wyrwał z tego wirującego letargu, zanim jednak całkowicie się rozbudziła, w kabinie było pusto. Adrian zajął tylko i zaraz znowu wyszedł. Kiedy obudziła się ponownie, w kabinie było ciemno, a on leżał w łóżku.

Poranek okazał się świeży i chłodny, zaś morze na tyle spokojne, iż Ewa poczuła się na siłach, by wstać. Śniadanie zjedli w kabinie; przy pomocy Adriana dokonała czegoś w rodzaju skromnej toalety, po czym wyszli na pokład spacerowy. Turniej tenisa już się rozpoczął, dostarczając atrakcji dla tuzina amatorskich kamer filmowych, choć większość pasażerów reprezentowana była jedynie przez pozbawione życia tłumoki, spoczywające na leżakach w towarzystwie tac z nietkniętym jedzeniem.

Adrian i panna D'Amido rozegrali swój pierwszy mecz. Ona była zręczna i pełna wdzięku: rażąco dobra. Spod jej kremowej skóry promieniowało jeszcze więcej ciepła, niż poprzedniego dnia. Przechadzający się po pokładzie pierwszy oficer zatrzymał się, by zamienić z nią kilka słów; pół tuzina mężczyzn, których trzy dni temu zapewne jeszcze nie знаła, mówiło do niej po imieniu. Była niewątpliwie pierwszą damą na statku, ośrodkiem zainteresowania wszystkich pasażerów.

Tymczasem Ewa już po chwili zdecydowała, iż woli przyglądać się siedzącym na masztach radiowych mewom i powolnemu opadaniu sklepionego wysoko nieba. Większość pasażerów wyglądała idiotycznie z tymi swoimi kamerami filmowymi, po które najpierw wszyscy się rzucili, a teraz nie bardzo wiedzieli, co z nimi począć, natomiast marynarze malujący podpory szalup byli cisi i zmęczeni, i wyrozumiali, i prawdopodobnie tak jak ona pragnęli, żeby ta podróż czym prędzej już się skończyła.

Butterworth usiadł na pokładzie obok jej leżaka.

— W tej chwili operują jednego ze stewardów. To chyba musi być okropne przy takim stanie morza.

— Operują? Dlaczego? — zapytała bez większego zainteresowania.

— Wyrostek robaczkowy. Musieli operować dziś rano, ponieważ wpływamy w jeszcze gorszą pogodę. Z tego też powodu przesunęli termin balu na dzisiejszy wieczór.

— Och! Biedny człowiek! — wykrzyknęła nagle zdając sobie sprawę, że to z pewnością musiał być jej steward.

Tymczasem Adrian popisывał się swoją wielką kurtuazją i rozważą podczas gry.

— Przepraszam. Nie zraniła się pani przypadkiem?... Ależ skąd, to moja wina... Niech pani zaraz włoży płaszcz, partnerko, bo jeszcze się pani przeziębi.

Mecz zakończył się ich zwycięstwem. Adrian zarumieniony i rześki podszedł do leżaka Ewy.

— Jak się czujesz?

— Okropnie.

— Muszę pójść do baru. Zwycięzcy stawiają drinka — powiedział usprawiedliwiając się.

— Ja też pójdę. — Ewa próbowała wstać, ale nagle zakręciło jej się w głowie i opadła z powrotem na leżak.

— Może lepiej tu zostać. Zaraz coś ci każe przynieść.

Zauważyła, iż przy ludziach zrobił się wobec niej jakiś dziwnie oficjalny.

— Wrócisz?

— Och, naturalnie. Za moment.

Została sama na pokładzie szalupowym, chroniona przez samotnego oficera, który, gdy tylko przechodził po mostku, wychylał się w jej stronę. Kiedy przyniesiono koktajl, zmusiła się do wypicia, i poczuła się nieco lepiej. Próbując skierować myśli na przyjemne sprawy, wróciła pamięcią do pełnych nadziei rozmów, które prowadzili z Adrianem przed wypłynię-

ciem w rejs: Jakaś mała willa w Bretanii, dzieci uczące się francuskiego — to było wszystko, o czym mogła w tej chwili myśleć — mała willa w Bretanii, dzieci uczące się francuskiego — więc raz po raz powtarzała sobie w myśli te słowa, dopóki nie stały się równie bezsensowne, jak białe, szerokie niebo. Przyczyna, dla której się tutaj znaleźli, gdzieś jej nagle umknęła; poczuła się pozbawiona wszelkiego celu i nie na miejscu, i zapragnęła, by Adrian czym prędzej wrócił, taki wrażliwy i czuły, i uspokoił ją. Była jeszcze nadzieja, że istnieje jakiś sekret godnego życia, możliwa jest jakaś prawdziwa rekompensata za utraconą beztroską ufność 1921 roku, że uda im się spędzić rok we Francji.

Mijał mroczny dzień. Na pokładzie nikt już się prawie nie pojawił, a wilgotne niebo opadało coraz niżej. W pewnej chwili zrobiła się już piąta po południu i wszyscy z powrotem znaleźli się w barze, zaś pan Butterworth opowiadał jej o swojej przeszłości. Wypiła sporo szampana, lecz mimo to gdzieś w głębi ciągle czuła się niedobrze, jak gdyby choroba morska była jej duszą, która usiłuje przebić się przez jakąś pęczniącą inkrustację nienormalnego życia.

— Z urody stanowi pani moje wyobrażenie greckiej bogini — mówił Butterworth.

Było bardzo miło stanąć z urody wyobrażenie greckiej bogini pana Butterwortha, ale gdzie się podział Adrian? Poszli razem z panną D'Amido na przedni pokład pooddychać trochę morską bryzą. Ewa usłyszała samą siebie, jak obiecuje wyciągnąć swoje farby i namalować Butterworthowi na koszuli wieżę Eiffla na dzisiejszy bal.

Adrian i Betsy D'Amido, przesiąknięci bryzą, z trudem otworzyli drzwi cofające się pod naporem szalejącego wiatru i wyszli na osłonięty i bezpieczny pokład spacerowy, po czym zatrzymali się i zwrócili ku sobie.

— I co teraz? — zapytała.

On jednak milczał; stał tylko opierając się plecami o reling, patrzył na nią i bał się odezwać. Ona milczała również, ponieważ zależało jej, żeby to on pierwszy zaczął, tak że przez chwilę nic się nie działo. Potem zrobiła krok w jego stronę, a on wziął ją w ramiona i pocałował w czoło.

— Po prostu jest ci mnie żal, to wszystko — zaczęła trochę pochlipywać. — Jesteś po prostu uprzejmy.

— Okropnie się z tym wszystkim czuję. — Jego głos był drżący i pełen napięcia.

— No to mnie pocałuj.

Na pokładzie nie było nikogo. Szybko się nad nią pochylał.

— Nie tak, pocałuj mnie naprawdę.

Nie przypominał sobie, by cokolwiek przedtem wydało mu się tak młode i świeże, jak jej usta. Deszcz kładł się, niczym łzy przelane z jego powodu, na łagodnie błyszczących, porcelanowych policzkach. Wydawała się taka zupełnie niewinna i nieskazitelna, tylko jej oczy płonęły dziko.

— Kocham cię — szepnęła. — I nic nie mogę na to poradzić. Kiedy zobaczyłam cię po raz pierwszy, ale nie, wcale nie na statku, tylko chyba ponad rok temu... Grace Heally zabrała mnie kiedyś na próbę i nagle ty wyskoczyłeś z drugiego rzędu i zacząłeś tłumaczyć im, co mają robić. Napisałam wówczas do ciebie list, ale potem go podarłam.

— Musimy wracać.

Łkała, kiedy szli po pokładzie. A potem jeszcze raz, w drzwiach swojej kabiny, nie zachowując żadnej ostrożności uniosła ku niemu twarz. Gdy wracał do baru, wzburzona krew dziko w nim pulsowała.

Na szczęście Ewa zdawała się ledwie go dostrzegać, a być może nawet w ogóle nie zauważyła, że wychodził. Po chwili więc postanowił okazać swoje zainteresowanie tym, co ona robi.

— Co to takiego?

— Ewa maluje mi na koszuli wieżę Eiffla na dzisiejszy wieczór — wyjaśnił Butter-



worth.

— Gotowe. — Ewa odłożyła pędzel i wytarła ręce.

— Jak wygląda?

— *Chef-d'oeuvre*. \*

Jej oczy przesunęły się po obserwującej ich grupce osób, po czym jakby przypadkowo zatrzymały się dłużej na Adrianie.

— Jesteś cały przemoczony. Idź się przebrać — powiedziała.

— Chodź ze mną.

— Mam ochotę na jeszcze jeden kieliszek szampana.

— Na razie ci wystarczy. Musimy iść przebrać się na bal.

Zamknęła niechętnie pudełko z farbami, po czym ruszyła przodem.

— Stacomb zamówił stół na dziewięć osób — poinformował ją Adrian, kiedy szli przez korytarz.

— Młode towarzystwo — zauważyła z przesadną goryczą. — Och, to młode towarzystwo. A ty przeżywasz najlepsze chwile swego życia... z dzieckiem.

Odbyli w kabinie długą rozmowę, podczas której ona była nieprzyjemna, on zaś wykręcał się na wszystkie strony, i która zakończyła się raptownie, gdy statek dał gigantycznego nura, zaś Ewa, bliska zamroczenia szampanem, znowu poczuła się niedobrze. W związku z tym nie pozostało im nic innego, jak wypić koktajl w kabinie, po czym zdecydowali się pójść na bal — ona mu już wierzyła, lub też było jej wszystko jedno.

Adrian gotów był pierwszy — na bale kostiumowe zawsze chodził ubrany normalnie.

— Pójdę już na górę. Przyjdź zaraz.

— A nie mógłbyś na mnie trochę poczekać? Okropnie kołysz.

Usiadł na łóżku z trudem ukrywając zniecierpliwienie.

— Chyba nie masz nic przeciwko temu, żeby na mnie poczekać, co? Nie chciałabym paradować tam na górę zupełnie sama.

Układała właśnie fałdę w orientalnym kostiumie wypożyczonym od fryzjera.

— Uważam, że statki doprowadzają ludzi do szaleństwa — rzekła. — Są okropne.

— Yhm — wymamrotał, błędząc myślami zupełnie gdzie indziej.

— Kiedy jest bardzo źle, zwykle udaję, że jestem na czubku drzewa, kołyszając się tam i z powrotem. Ale w końcu zaczynam wszystko udawać, i w rezultacie muszę też udawać, że jestem normalna, chociaż wiem, że tak nie jest.

— Jeśli zaczniesz myśleć w ten sposób, to chyba rzeczywiście oszalejesz.

— Spójrz, Adrian. — Podniosła perłowy naszyjnik, który właśnie zamierzała włożyć.

— Czyż nie są śliczne?

Zniecierpliwionemu Adrianowi wydawało się, iż Ewa porusza się po kabinie niczym w zwolnionym filmie.

— Ile ci to jeszcze zajmie? — zapytał po chwili. — Okropnie tu duszno.

— No to idź! — wybuchnęła.

— Nie chcę...

— Idź, proszę! Działasz mi na nerwy tym swoim popędzaniem.

Ociągając się ostentacyjnie, w końcu jednak wyszedł. Po chwili wahania ruszył schodami w dół, na niższy pokład i zapukał do drzwi.

— Betsy!

— Chwileczkę.

Wysłała na korytarz przebrana w kostium składający się z czerwonego zakietu w grochy i spodni pożyczonych od windziarza.

— Czy windziarze mają pchły? — spytała. — Włożyłam pod spód wszystko na świecie

\* *Arcydzielo*.

jako środek zabezpieczający.

— Musiałem cię zobaczyć — powiedział szybko.

— Uważaj — szepnęła. — Panna Warden, która miała być moją przyzwoitką, jest tu naprzeciwko. Cierpi na chorobę morską.

— A ja cierpię z twojego powodu.

Pocałowali się nagle, przywierając blisko do siebie w wąskim korytarzu, kołysząc się zgodnie z ruchem statku.

— Nie odchodź — mruknęła.

— Muszę. Ja...

Jej młodość zdawała się w niego wpływać, wynosząc go do stanu subtelnej, romantycznej ekstazy, który dominował nad namiętnością. Nie potrafił się tego wyrzec, odkrył bowiem coś, co odeszło na zawsze razem z jego młodością. Kiedy szedł korytarzem, wiedział już, że przestał myśleć, że nie miał odwagi myśleć.

W drzwiach prowadzących do baru spotkał Ewę.

— Gdzie byłeś? — spytała z wymuszonym uśmiechem.

— Zobaczyć, co z naszym stolikiem.

Wyglądała ślicznie; jej chłodna wytworność przyćmiewała banalny kostium i sprawiła, iż znowu patrzył na nią z aprobatą i dumą. Usiedli przy stoliku.

Z godziny na godzinę sztorm przybierał na sile i nawet zwykłe przejście korytarzem stało się niebezpiecznym zadaniem. We wszystkich kabinach walizki przywiązano do umywalk, zaś katastrofa „Vestrise” była szczegółowo omawiana przez podenerwowane, nieszczęśliwe, chore, i przewracające się z boku na bok w swoich łóżkach damy. W palarni pewien gruby jegomość został rzucony do tyłu i poważnie rozciął sobie głowę; natomiast teraz lżejsze krzesła i stoły złożono w stos i przymocowano do ściany linami.

Tłumek, który przywdział balowe kostiumy i wspólnie spożywał kolację, rozrósł się do około szesnastu osób. Jedyne warunki uczestnictwa w zabawie stanowiła umiejętność dotarcia do palarni. Siedzieli tam najróżniejsi ludzie, od prawnika z Groton-Harvard począwszy, a na niepiśmiennym handlarzu starzyzną, przezywanym Krwawym Kanciarzem kończąc, ale odrębności się zatarły; stanowili teraz garstkę samurajów wybraną spośród kilkuset z racji zwycięskiego oporu, który stawiali sztormowi.

Uroczysta kolacja, odbywająca się wśród zawieszonych sardonicznie lampionów i serpentyn przerywana była raz po raz wielkim zbiorowym ślizganiem się, gwałtownymi unikami i rozlewaniem wina, podczas gdy statek ryczał i narzekał, iż mimo pałacowego wystroju pozostawał w końcu tylko statkiem. Po pewnym czasie na górnym pokładzie pojawiło się pół tuzina par, które usiłowały tańczyć, szurając i galopując w tę i z powrotem w szalonych płasach, i które rozrzucone były dziwacznie dokoła przez jakąś niezależną od nich wolę. Wziąwszy pod uwagę położenie setek pasażerów przeżywających katorgę na dole, można powiedzieć, iż zaczynało być w tym coś nieprzyzwoitego, niczym hulanka w domu żałoby; obecnie zaś, wśród stale topniejącego grona najwytrwalszych, rozpoczął się exodus w kierunku baru.

W miarę, jak upływał wieczór, w Ewie narastało wrażenie nierzeczywistości. Adrian gdzieś się ulotnił — prawdopodobnie z panną D'Amido — zaś jej umysł, rozstrojony chorobą i szampanem, zaczął ów fakt wyolbrzymiać: irytacja stopniowo przechodziła w ciemny, posępny gniew, natomiast smutek w rozpacz. Nigdy przedtem nie starała się wiązać Adriana, bo zresztą nigdy też nie było takiej potrzeby — byli poważnymi ludźmi związanymi ze sobą wszelkiego rodzaju wspólnymi interesami, no i byli z siebie nawzajem zadowoleni — ale to?! To stanowiło pogwałcenie umowy, to było po prostu okrutne. Jak on w ogóle mógł przypuszczać, że ona nie zdawała sobie ze wszystkiego sprawy?

Jakieś kilka godzin później Adrian pochylił się w barze nad jej krzesłem, podczas gdy ona akurat z pasją wykladała pewnej kobiecie swoje poglądy na temat dzieci.

— Ewa, może byśmy już lepiej poszli spać? — zaproponował.

Pogardliwie wydeła wargi.

— Tak, żebyś mógł mnie tam zostawić, a potem wrócić do tej swojej osiemnastoletniej...

— Uspokój się!

— Nie pójdę spać.

— No to świetnie. Dobranoc.

Po jakimś czasie ludzie przy stoliku Ewy zmienili się. Stewardzi chcieli już zamknąć salę, podczas gdy ona myśląc o Adrianie — swoim Adrianie, który teraz szepce gdzieś czułe słówka jakiejś młodej i pięknej dziewczynie — rozpląkała się.

— Ale on przecież poszedł się położyć — zapewniali ją ostatni uczestnicy zabawy. — Widzieliśmy go, jak szedł do kabiny.

Potrząsnęła głową. Ona wiedziała lepiej. Straciła Adriana. Długi, siedmioletni sen został przerwany. Prawdopodobnie spotkała ją kara za coś, co niegdyś zrobiła — kiedy zdała sobie z tego sprawę, trzeszczące nad jej głową belki zaczęły mamrotać i potakiwać. Wreszcie odgadła. Była to kara za egoizm wobec matki, która nie chciała zgodzić się na jej ślub z Adrianem; była to kara za wszystkie grzechy i zaniedbania, jakich dopuściła się w całym swoim życiu. Po chwili wstała mówiąc, iż musi wyjść na zewnątrz, by zaczerpnąć trochę powietrza.

Pogrążony w mroku pokład przesiąknięty był wichrem i deszczem. Statek tłukł się przez fale umykając przed nacierającymi z rykiem czarnymi masywami wody. Spoglądając w ciemność, Ewa uświadomiła sobie, iż jeśli nie odprawi teraz pokuty, nie przebłaga sztormu, wówczas nie będzie już dla nich żadnego ratunku. To właśnie miłość Adriana musiała poświęcić. Rozmyślając w ten sposób rozpięła powoli swój perłowy naszyjnik i uniosła go do ust — wiedziała, że wraz z nim odejdzie najczystszy i najpiękniejszy okres jej życia — po czym cisnęła naszyjnik daleko w wicher.

### III.

Kiedy Adrian się obudził, była już pora lunchu, ale wiedział, że z głębokiego snu wyrwał go jakiś znacznie silniejszy dźwięk, niż zwykły gwizd okrętowej syreny. I wówczas zdał sobie sprawę, że to walizka urwała się ze sznurów i tłukła tam i z powrotem między szafą a łóżkiem Ewy. Zerwał się wystraszony, ale Ewie szczęśliwie nic się nie stało — ciągle jeszcze w balowym kostiumie leżała pogrążona w głębokim śnie. Kiedy już steward pomógł mu przytroczyć walizkę, Ewa otworzyła jedno oko.

— Jak się czujesz? — zapytał siadając na brzegu jej łóżka.

Ewa zamknęła oko, po czym otworzyła je ponownie.

— Znaleźliśmy się w samym środku huraganu — poinformował ją. — Steward mówi, że czegoś takiego nie widział od przeszło dwudziestu lat.

— Moja głowa — wymamrotała. — Przytrzymaj mi głowę.

— Jak?

— Z przodu. Chyba zaraz wysadzi mi oczy. Mam wrażenie, że za chwilę umrę.

— Bzdury. Chcesz, żebym sprowadził lekarza?

Lekko sapnęła, ale jakoś tak dziwnie, że się przestraszył; zadzwonił na stewarda i posłał go po lekarza.

Młody lekarz był błydy i zmęczony. Jego twarz porastał jednodniowy, szczeciniasty zarost. Ukłonił się sucho w drzwiach, po czym, zwracając się do Adriana, zapytał bez większych wstępów:

— O co chodzi?

— Moja żona nie czuje się zbyt dobrze.

— Czego pan w takim razie sobie życzy, bromu?

— A może by pan ją lepiej zbadał i sam zobaczył, czego jej potrzeba — powiedział Adrian nieco poirytowany jego zachowaniem.

— Potrzeba jej bromu — odparł lekarz. — Wydałem polecenie, żeby na tym statku nie dawano jej już więcej żadnego alkoholu.

— A to dlaczego? — zapytał Adrian zdumiony.

— To pan nie wie, co się tu w nocy działo?

— Skąd niby mam wiedzieć? Spałem.

— Pani Smith błąkała się przez godzinę po całym statku, nie bardzo się chyba orientując, co robi. Trzeba było wysłać marynarza, żeby jej pilnował, a kiedy pielęgniarka próbowała zaprowadzić ją do łóżka, pańska żona obraziła ją.

— O mój Boże! — wykrzyknęła Ewa słabym głosem.

— Tymczasem pielęgniarka musiała razem ze mną siedzieć przez całą noc przy łóżku stewarda Cartona, który zmarł dziś rano. — Doktor podniósł swoją walizkę. — Przyślę brom dla pani Smith. Do widzenia.

Przez kilka minut w kabinie panowała cisza. Potem Adrian szybkim ruchem przygarnął Ewę do siebie.

— Nie przejmuj się — powiedział. — Jakoś to załagodzimy.

— Tak, teraz sobie przypominam — jej głos przeszedł w wylęknięty szept. — Moje perły. Wyrzuciłam je za burtę.

— Wyrzuciłaś je za burtę?!

— A potem zaczęłam ciebie szukać.

— Ale przecież byłem tutaj, w łóżku.

— Nie wierzyłam w to; myślałam, że byłeś z tamtą dziewczyną.

— Zmogło ją już w czasie obiadu. Natomiast ja zdrzemnąłem się tutaj, na dole.

Adrian z zaszępioną miną zadzwonił na stewarda, po czym polecił mu przynieść lunch i butelkę piwa.

— Przykro mi, proszę pana, ale niestety nie wolno nam podawać żadnego piwa do pańskiej kabiny.

Kiedy steward wyszedł, Adrian wybuchnął:

— To oburzające! Po prostu oszalałaś od tego sztormu, a to nie jest powód, żeby nas tu teraz terroryzować. Pójdę porozmawiać z kapitanem.

— Czy to nie okropne? — wymamrotała Ewa. — Ten biedny człowiek umarł.

Odwróciła się i zaczęła szlochać w poduszkę. Tymczasem rozległo się pukanie do drzwi.

— Mogę wejść?

Niespożyty pan Butterworth, zadziwiająco zdrowy i nieskazitelny, wszedł do szaleńczo rozhuśtanej kabiny.

— I co, jak się miewa mistyczka? — zwrócił się do Ewy. — Pamiętasz, jak modliłaś się do żywiołów wczoraj wieczorem w barze?

— Nie chcę niczego pamiętać z wczorajszej nocy.

Opowiedzieli mu o pielęgniarce, a w miarę opowiadania sytuacja rozładowała się: śmiali się wszyscy razem.

— Zdobędę dla was trochę piwa, żebyście mieli do lunchu — powiedział Butterworth. — Powinniście wygramolić się na pokład.

— Nie odchodź — poprosiła Ewa. — Wyglądasz tak miło i radośnie.

— Tylko na dziesięć minut.

Kiedy Butterworth wyszedł, Adrian zadzwonił, by przygotowano dwie kąpiele.

— Musimy się teraz pokazać! Włożymy nasze najlepsze ubrania i przejdziemy się dumnie trzy razy po całym pokładzie — powiedział.

— Tak. — I po chwili dodała w zamyśleniu: — Lubię tego młodego człowieka. Był dla mnie strasznie miły wczoraj wieczorem, kiedy zniknąłeś.

Steward przyszedł z wiadomością, że kąpiel jest tego dnia zbyt niebezpieczna. Znajdowali się w samym środku najdzikszego od dziesięciu lat huraganu na północnym Atlantyku; tego ranka odnotowano już dwa złamania ręki u tych, którzy próbowali wziąć kąpiel. Starsza pani spadła ze schodów i nie spodziewano się, by przeżyła. Co więcej, w ostatnich godzinach otrzymali sygnały SOS z kilku statków.

— Czy udzielimy im pomocy?

— Są za nami, proszę pana, tak że będziemy musieli pozostawić je „Mauretanii”. Gdybyśmy chcieli zawrócić przy tym stanie morza, zmiażdżyłoby nam iluminatory.

Wobec takiego nagromadzenia nieszczęść, ich własne problemy zeszyły na drugi plan. Zjedli część lunchu, wypili piwo, które dostarczył im Butterworth, po czym ubrali się i wyszli na pokład.

Mimo iż na zewnątrz można było poruszać się jedynie krok po kroku, przytrzymując się liny albo relingu, na pokładzie znalazło się znacznie więcej osób, niż wczoraj. Strach wypędził ludzi z kabin, gdzie bagaże obijały się o siebie, zaś fale tłukły w iluminatory i w każdej chwili mogło pojawić się wezwanie do szalup. I rzeczywiście, kiedy Adrian i Ewa stali na poprzecznym pokładzie nad drugą klasą, rozległo się buczenie syreny, po którym na dole zebrał się cały personel statku. Ale statek był bezpieczny; stracić miał jedynie część swojego ładunku — steward James Carton miał być pochowany w morzu.

Było w tym coś bardzo smutnego i bardzo brytyjskiego zarazem. Równe rzędy wyprostowanych mężczyzn i kobiet stały w siekącym deszczu, podczas gdy obok spoczywało martwe ciało okryte flagą żyjącego z morza imperium. Naczelnym przedstawicielem armatora odczytał modlitwę, po czym odśpiewano hymn, i ciało ześlizgnęło się w sztorm.

Ów żalony koniec wywołał u Ewy wybuch dzikiego szloch, i wówczas jakby pękła w niej jakaś ostatnia struna. Było jej już teraz naprawdę wszystko jedno. Zgodziła się ochoczo, gdy Butterworth zaproponował, że mógłby przynieść szampana do ich kabiny. Tymczasem jej nastrój zaniepokoił Adriana; nie była przyzwyczajona do takiej ilości alkoholu i Adrian nie bardzo wiedział, co powinien w tej sytuacji zrobić. Na jego propozycję, by zamiast tego poszli raczej spać, odpowiedziała po prostu śmiechem, podczas gdy brom przysłany przez doktora stał na umywalce nietknięty. Adrian obserwował ją udając, iż słucha gładzenia jakichś kilku panów Stacombów; nieprzyjemnie i zupełnie niespodziewanie uderzyło go, iż Ewa zdawała się być w bliskich, a nawet jakby zabarwionych czułością stosunkach z Butterworthem, i zaczął zastanawiać się, czy miała to być z jej strony zemsta za jego zachowanie wobec Betsy D'Amido.

Kabina była pełna dymu, głosy terkotały bez ustanku, a ograniczenie swobody i bierne oczekiwanie końca sztormu działały mu dodatkowo na nerwy. Mimo iż przebywali na morzu raptem cztery dni, wydawało się, że upłynął rok.

Dwóch panów Stacombów w końcu wyszło, ale Butterworth pozostał. Ewa nalegała, by poszedł po następną butelkę szampana.

— Może już starczy na dziś — sprzeciwił się Adrian. — Dobrze by było się trochę przespać.

— Nie chcę iść spać — wybuchnęła. — Chyba jesteś jakiś pomyłony! Sam robisz wszystko, co ci się tylko podoba, a kiedy ja, kiedy ja w końcu znalazłam kogoś, kogo... kogo lubię, ty zaraz chciałbyś zapakować mnie do łóżka.

— Histeryzujesz.

— Przeciwnie: nigdy nie byłam tak opanowana.

— Myślę, że byłoby lepiej, gdybyś już jednak poszedł, Butterworth — powiedział Adrian. — Ewa po prostu nie wie, co mówi.

— On nigdzie nie pójdzie, nie puszczę go. — Ścisnęła namiętnie dłoń Butterwortha. —

On jest jedyną osobą, która wykazała wobec mnie trochę przyzwoitości.

— Lepiej już idź, Butterworth — powtórzył Adrian.

Młody człowiek spojrział na niego niepewnie.

— Wydaje mi się, że jesteś dla swojej żony niesprawiedliwy — zaryzykował.

— Moja żona nie jest teraz sobą.

— Ale to nie powód, żeby ją tyranizować.

Adrian wpadł we wściekłość.

— Wynoś się! — wrzasnął.

Obaj mężczyźni przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Potem Butterworth odwrócił się do Ewy.

— Przyjdę później — powiedział i wyszedł z kabiny.

— Ewa, musisz wziąć się w garść — odezwał się Adrian, kiedy drzwi się zamknęły.

Nie odpowiedziała; patrzyła na niego ponuro spod na wpół przymkniętych powiek.

— Zamówię obiad do kabiny dla nas dwojga, a potem spróbujemy się trochę zdrzemnąć.

— Chcę iść na górę wysłać telegram.

— Do kogo?

— Do pewnego paryskiego prawnika. Chcę rozwodu.

Mimo rozdrażnienia Adrian roześmiał się.

— Przestań się wygłupiać.

— A potem pójdę do dzieci.

— No dobrze, w takim razie idź. A ja w tym czasie zamówię obiad.

Czekał na nią w kabinie dwadzieścia minut. Wreszcie zniecierpliwiony otworzył drzwi po drugiej stronie korytarza; niania powiedziała, że pani Smith tutaj nie było.

Raptem tknęło go jakieś złe przeczucie; szybko wbiegł po schodach na górę, zajrzał do baru, do salonów, nawet zapukał do drzwi Butterwortha. Następnie obiegił pokłady, przedzierając się przez czarną bryzę i deszcz. Jakiś marynarz zatrzymał go przed rozpiętą na linach siecią.

— Niestety, proszę pana, dostałem polecenie, żeby nikogo nie przepuszczać. Fala uderzyła w pomieszczenie radiotelegrafisty.

— A nie widział pan przypadkiem młodej kobiety?

— Była tu pewna młoda dama... — nagle przerwał i rozejrzał się. — Halo, proszę pani! Chyba gdzieś już poszła.

— Musiała wejść po schodach — przestraszył się Adrian. — Tam, do pomieszczenia radiotelegrafisty.

Marynarz rzucił się na górę, na pokład szalupowy, potykając się i ślizgając. Adrian podążył za nim. Kiedy próbował odsunąć wodoszczelne kłapy zabezpieczające zejście pod pokład, jakaś potworna masa zadała statkowi ogłuszający cios, i gdy ten przechylił się o czterdzieści pięć stopni, Adrian został odrzucony w dół zmoczonego pokładu, po którym potoczył się bezwładnie, aż oszołomiony i poobijany zatrzymał się na podporze szalupy.

— Ewa! — zawołał.

Jego głos utonął bezdźwięcznie w czarnym sztormie. Na tle nikłego światła padającego z okna pomieszczenia radiotelegrafisty Adrian dostrzegł marynarza ciągle jeszcze przedzierającego się naprzód.

— Ewa!

Podmuch wiatru cisnął nim o szalupę niczym jakimś żaglem. Potem rozległ się następny przeraźliwy łoskot, i gdzieś wysoko nad swoją głową, dokładnie nad statkiem, Adrian ujrzał gigantyczną, lśniącą białą falę, i w ułamku sekundy, kiedy tam zawisała, uprzytomnił sobie, iż Ewa stoi obok wentylatora raptem dwadzieścia stóp dalej. Odpychając się od podpory rzucił się w jej stronę akurat w momencie, gdy olbrzymia masa wody rozbiła się z miażdżą-

cym rykiem. Rwący potok, który napierając z olbrzymią siłą w kierunku burty miał przez chwilę pięć stóp głębokości, rzucił w jego stronę jakąś ludzką istotę, on zaś, jak oszalały kurczowo ją pochwycił i wraz z nią został z powrotem zmieciony na krawędź pokładu. Poczł, że jego ciało uderzyło w reling, ale nadal desperacko trzymał swoje brzemie; i wówczas, gdy statek powoli zaczynał się prostować, obydwój, ciągle szczeni jego dzikim uściskiem, wy-czerpani, odtoczyli się z powrotem na mokre deski pokładu. Przez chwilę nie wiedział nic więcej...

#### IV.

Dwa dni później, kiedy pociąg wiozący pasażerów statku podązał spokojnie na południe, w kierunku Paryża, Adrian usiłował namówić dzieci, by patrzyły przez okno i podziwiały krajobraz Normandii.

— Przecież to piękne — przekonywał je. — Te wszystkie małe gospodarstwa wyglądają jak zabawki. Dlaczego, na miłość boską, nie chcecie patrzeć?

— Bardziej wolałam statek — powiedziała Estelle.

Jej rodzice wymienili dzieciobójcze spojrzenia.

— Ciągle jeszcze się czuję, jakbym była na tym kołyszącym się okręcie — wzdygnęła się Ewa. — A ty?

— Ja nie. Mnie się to wszystko wydaje jakieś strasznie odległe. Nawet pasażerowie wyglądali jakoś obco podczas odprawy celnej.

— Większość z nich w ogóle nie wychodziła na pokład przez cały rejs.

Adrian zawahał się.

— A tak swoją drogą, chciałem ci powiedzieć, że jednak wypisałem ten czek dla Butterwortha.

— No bo jesteś głupi. Nie zobaczysz już więcej tych pieniędzy na oczy.

— Ale musiał ich piekielnie potrzebować. Inaczej nigdy by się z tym do mnie nie zwrócił.

Błada, wymizerowana dziewczyna przechodząca właśnie korytarzem rozpoznała ich i wsunęła głowę do przedziału.

— Jak się czujecie?

— Fatalnie.

— Ja też — przyznała panna D'Amido. — Chociaż ciągle jeszcze mam nadzieję, że być może mój narzeczony mimo wszystko jednak rozpozna mnie na Gare du Nord. A wiecie, że podobno aż dwie fale zalały pomieszczenie radiotelegrafisty?

— Tak, słyszeliśmy — odparł sucho Adrian.

Pełna wdzięku poszła dalej korytarzem, opuszczając ich życie.

— Tak naprawdę, to nic z tego się nie wydarzyło — powiedział Adrian po chwili. — To był po prostu zły sen, wyjątkowo okropny sen.

— Gdzie są w takim razie moje perły?

— Kochanie, w Paryżu znajdziemy ładniejsze perły. A poza tym czuję się winny z powodu tego, co się stało. No i jestem naprawdę przekonany, że to ty ocalałaś statek.

— Adrian, nie zawierajmy już więcej nowych znajomości, trzymajmy się zawsze razem... już tylko we dwoje.

Wziął jej rękę i wsunął pod swoje ramię. Usiedli blisko siebie.

— Jak sądzisz, kim byli ci Smithowie ze statku? — spytał. — Bo z pewnością to nie byłam ja.

— Ja też nie.  
— A więc musiało to być dwoje zupełnie innych ludzi — zastanawiał się kiwając głową. — Taak, na tym świecie jest tylu Smithów.

*Przełożyła ANNA BRZEZIŃSKA*